

wolnie lzy mi napływać poczęły do oczów. Prawie pewną byłam, że nikogo niema w galeryi, gdy nagle z poza ogromnych kwiatów cieplarny, których kilka-  
naście stało w głębi, zdawało mi się, że słyszę jakieś szepty, a wśród nich rozróżniałam najwyraźniej pieściwy głos kawalera Dolabelli i Luizy Gaworowskiej. Uczu-  
łam silne ściśnienie serca, jakieś głębokie podejrzenie zdrady mną owładnęło, i nie zastanawiając się co robię, pędzona jedynie niepowstrzymanem pragnieniem na-  
ocznego przekonania się, co znaczą te szepty, na palcach, jak mogłam najciszej, skradać się poczęłam ku wielkiemu krzakowi granatu, z poza którego owe szepty dochodziły. I tego co ujrzałam nigdy, do końca życia nie zapomnę, nigdy nie przebaczę ani uwodzicielowi kawalerowi, ani bezecnej zalotnicy Luizie. Ze nie padłam na miejscu trupem, sama się sobie dziwię.

Oto co ujrzałam:

Na małej kanapce, poza rozłożystym krzakiem granatu, który purpurowe wiązki swych kwiatów kładł na głowy kochanków, siedział kawaler, trzymając na kolanach Luizę. Oboje tak byli zajęci sobą i pocałunkami, jakimi się nawzajem bezwstydnie obsypywali, że nie słyszeli przytłumionego mego okrzyku, jaki mi się na ten widok mimowoli wyrwał z piersi, ani szelestu granatu, którego rozpaczliwie się chwyciłam, by nie upaść na podłogę. Wśród tych zbrodniczych i wszetecznych pieszczot, kawaler swym miodowym głosem szeptał:

— O Luizy, najdroższa Luizy, jakże ja cię kocham, jakże szczęśliwy jestem, że miłość naszą ukoronuje to dziecię nasze, które w łonie nosisz. Mówisz, że cię żal obejmuje, że to dziecię nosić będzie nie moje nazwisko, ale tego eunucha, który uchodzi za twego męża. Ale cóż to znaczy? czy w czem zmienia istotę rzeczy? czyż przez to owoc ten, nie jest owocem naszej gorącej miłości? O! Luizy, ubóstwiana moja Luizy...

Nie mogłam słuchać więcej tych słów bezwstydnich. Zakryłam twarz rękami, bo zdawało mi się, że pocałunki tego zdrajcy, którymi mię skalał owej nocy księżycowej, palą mię jak rozpalonem żelazem. Chciałam krzyczeć, ale przecie powstrzymałam się i miałam tyle mocy nad sobą, że jak najciszej uciekłam, zatykając uszy i oczy... O! o! o! jakże ciężko, jak strasznie zawiedziona i ukarana zostałam za to, że wierzyłam w miłość tego człowieka, a jednak...

(w tem miejscu papier strawiony przez wilgoć, a może przez lzy, pogryziony zapewne przez myszy i mole, pozostawił na sobie zaledwie ślady piśma, tu i ówdzie pojedyncze, bez związku, wyrazy, dopiero dalej nieco zaczyna się znowu ta bolesna spowiedź mej praprababki).

„...za nic więc na świecie nie chciałam dłużej pozostać w Gaworowie i patrzeć na te bezwstydne kobiety i tych szalejących mężczyzn. Ale niestety! chcąc z tego wszetecznego wertepu uciec, trzeba było mieć pieniądze, a ja ich nie miałam. Mój mąż, pan chorąży Dziaduski, wzięwszy podobno za mną znaczny posag i majątności (jakie, nie wiem, bo mi opiekunowie moi nigdy o tem nie mówili), nie dawał mi pieniędzy, zresztą w domu, w Czarnowie, co prawda, nie potrzebowałam ich wcale, lecz wyprawiając mię do Gaworowa wsunął mi w rękę kilka czerwonych złotych, zalecając surowo, bym ich strzegła i w ostatniej tylko potrzebie wydawała. Z tych pieniędzy zostało mi zaledwie dwa talary srebrne, a miałam przecie tyle doświadczenia, że wiedziałam, iż te pieniądze nie wystarczą mi na podróż do Czarnowa. A przytem trzeba było służbie w Gaworowie coś zostawić, bo w tym niby pańskim pałacu, liczna służba ciągle patrzyła na ręce i większa część moich czerwonych złotych już do jej chciwych kieszeni przeszła. Nie chciałam też Luizy prosić o konie i kolebkę, bo mi ta kobieta, ta niewierna żona i zalotnica obrzydła, ile, że przypatrując się wielu rzeczom, przypominając sobie owe szepty jej z kawalerem i wskazując na mnie oczami, wzbudziły we mnie podejrzenie, że ona podmówiła swego kochanka Dolabellę, aby mię sprowadził z uczciwej drogi, nie mogąc znieść obok siebie niewiasty cnotliwej.

W takim rozpaczliwym położeniu, nie wiedziałam nieszczęśliwa, całe noce we łzach i bezsenie prze-

pędzić, co robić i gdzie szukać ratunku. Żeby się dostać tylko do Krakowa, myślałam sobie, to stamtąd udałabym się do Staniątek, do siostry Machtyldy, która mi zawsze wiele łaskowości okazywała i pewną byłam, że potrafiłaby mi dopomóc, bym do domu, do męża wrócić mogła. Ale jak się dostać do Krakowa? Zgnębiona, z ciężką raną w sercu, zawiedziona w najdroższych i najtajniejszych uczuciach, już postanowiłam wykraść się z pałacu i piechotą iść do Krakowa, choć nie wiedziałam drogi, ani w której stronie to miasto leży, ale liczyłam na Opatrzność, na opiekę Najświętszej Maryi Panny, do której zawsze żywiłam gorące nabożeństwo i pocieszałam się, że w tej mojej strasznej niedoli, nie opuści mnie i poda mi rękę pomocną. Już zrobiłam sobie skrycie zawiniątko z najpotrzebniejszych rzeczy i upatrywałam tylko sposobności wymknięcia się z tego bezecnego pałacu, gdy nagle Opatrzność, jak wówczas sądziłam, nie zapomniała o mnie i wybawiła mię z tego ciężkiego kłopotu. Nie wiedziałam, nie przeczuwałam nawet, jaki okrutny cios, jaką przyszłość bolesną miałam przed sobą.



Oboje tak byli zajęci sobą i pocałunkami.

Coś na czwarty dzień, po przekonaniu się w oszklonej galeryi o niecznej zdradzie kawalera i Luizy, gdy zdecydowana była wieczorem uciec z pałacu i pieszo puścić się w drogę, zjawił się w Gaworowie pan Zaremba, podstarość, konfident i prawa ręka mego męża. Niecierpiałam tego wygislachcica, który lizał się chorążem, ludzi katował, dla mnie był niby z nadzwyczajnem uszanowaniem, a wiem, że nieraz podburzał przeciw mnie męża. Przyjechał on z kolaską otwartą, z dziewczką służebną mało mi znaną, Kasią imieniem, która jednak okazała się być dobrą i serdeczną dziewczyną, i z piśmem od pana Dziaduskiego. W piśmie tem mój mąż i pan nakazywał mi w wyrazach twardych i surowych, abym natychmiast wracała do domu, oraz uwiadamił mnie, że opiekę nademną w tej podróży ma mieć Zaremba, żebym zatem była mu posłuszną i w niczem jego woli się nie sprzeciwiała. Nie podobał mi się ten list, zdawało mi się, że przecie jako żona zasługiwałam na przyjaźniejsze, łagodniejsze słowa, nie podobała mi się też opieka pana Zaremby i polecenie, bym mu posłuszną była, jemu, słudze, ale wobec możności opuszczenia Gaworowa zapomniałam o tem wszystkim, nie zastanawiałam się nad przyczynami tego rozkazu, szorstko wypo-

wiedzanego i dziękowałam Panu Bogu, że mię z tej kompanii rozpustnej wyprowadza, i że nie będę potrzebowała puszczać się sama w hazardowną drogę, ja, młoda i niedoświadczona.

Ucieszona więc niezmiernie, piorunem byłam gotowa do drogi. Chłodno pożegnałam się z Luizą, która widocznie była zdumiona tym nagłym białem i chciała mi coś powiedzieć, ale obecność Zaremby, który mię już na krok nie odstępował, przeszkodziła temu. Kawaler, który nie wiedział widocznie o moim wyjeździe, przybiegł zadyszany, z miną zrozpaczoną dopiero w chwili, gdy już siadała do kulaska i wołał:

— Jakto? pani wyjeżdżasz? a cóż będzie ze mną?... co się stanie z nieszczęśliwym artystą, bez ciebie o! najpiękniejsza ze śmiertelnych?

Nie odrzekłam nic, tylko chłodno skłoniłam się zdrajcy, choć słowa rwały mi się na usta, a serce biło mocno, ale obecność Zaremby, jego bazyliżkowe oczy wlepione we mnie, przekonywujące mnie, że mam przed sobą, nie opiekuna, w dalekiej podróży, ale stróża i dozorcę, powstrzymały gorący wybuch

oburzenia i słów miłosnych, bo mimo wszystko, Boże nieśmiertelny, przebac mi! ja tego człowieka kochałam... Z rozpaczą w duszy, zalewając się skrycie łzami, wyjechałam na zawsze z Gaworowa.

Zaremba rozkazał Kasi, aby usiadła na bryce, napakowanej żywnością, pościelą i wszystkim, co było potrzebne w tak dalekiej podróży, a sam chciał się umieścić obok mnie w kolasce. Oburzyło mię to nadzwyczajnie; rozżalona zalana łzami, rozgniewana na tego dozorcę, który ośmielił się nie odstępować odemnie na krok nawet, zawołałam z uniesieniem, któremu sama się dziwiłam:

— Jak śmiesz asan tu rozkazywać? Kasia ze mną pojedzie, a asan ruszaj na brykę. Tam jest twoje miejsce.

Niegodny sługus zbladł, bazyliżkowe oczka zaświeciły mu się jak iskry, ale pohamował się, zdjął pokornie czapkę z głowy i rzekł:

— Kiedy taki jest rozkaz jaśnie pana.

— Ruszaj asan na brykę! Kasiu siądź tu obok mnie!

Sklonił się i odpowiedział:

— H! skoro taka wola jaśnie pani... ale jasny pan będzie wiedział o tem.

Nadział czapkę na głowę i podnosząc groźnie palec do góry, zawołał:

— Kaśka, pamiętaj!

Zdziwiona tym jego rozkazem, gdyśmy już ruszyli, spytałam Kasi:

— O czem on ci kazał pamiętać?

Dziewczyna zmieszana się mocno i odpowiedziała:

— Kiedy, proszę jaśnie pani, nie mogę powiedzieć.

Z tych słów wynioskowałam, że ma jakieś sekretne rozkazy, których zabroniono jej wyjaśniać przedemną. Nie znając jej dobrze, bo niesłużyła ona w pokojach, nie chcąc się zresztą wdawać w konfidencyje ze sługą, zboliała przytem mocno, całą duszą wyrывая się do tego, który me serce zabrał, a którego prawdopodobnie już nigdy nie obaczę, nie pytałam więcej. Ale wypłakawszy się do syta, co mi znaczną ulgę przyniosło, a czemu Kasia z widocznym współczuciem w milczeniu się przypatrywała, zapytałam:

— Dlaczego Marcysi po mnie nie przysłano, tylko ciebie.

Marcysia była moją panną służebną i przywiązaną do mnie. Kasia na to odrzekła:

— Nie wiem, proszę jasnej pani. Kazano mi jechać, więc pojechałam, ale ja jasnej pani nie gorzej od Marysi usługuję.

— Któż ci kazał jechać?

— Pani klucznica.

— A Marcysi przed wyjazdem nie widziałas, nie mówiłaś z nią?

— Nie... ale jasna pani może być spokojna, że ja potrafię usługować.

— Nie wątpię o tem. Widzę, że jesteś dobra dziewczyna.

(Ciąg dalszy nastąpi).